

## Samokontrola

Naczytałem się tych cholernych bredni, tych cholernych Jungów, Freudów, Zygmunatów, psychiatrów takich, jak Bilikiewicz, Kępiński, Dąbrowski (ten od dezintegracji pozytywnej), broszur antyalkoholowych... Przynosiłem sobie chyba całą literaturę, w tym piękną, traktującą o wariatach, tak że w końcu doszło do tego, że sam sobie raz po raz muszę zadawać pytanie: jestem wariatem czy nim nie jestem?

Do czego, Jezus Maria, to czytanie mnie doprowadziło? Przykładowo, jestem na przystanku, czekam na autobus, a kątem oka nieustannie obserwuję stojących obok mnie ludzi. I zadaję sobie pytanie: czy nie stoję zbyt wyzywająco, zbyt chępliwie?

No tak, ten pan obok stoi spokojnie, ręce opuszczone wzdłuż ciała, lewa noga nieznacznie wysunięta w bok i do przodu, w swobodnej pozycji "spocznij"... Natychmiast koryguję swoją postawę. Ściągam szeroko rozstawione (jakby butnie!) nogi, przy czym lewą wysuwam nieznacznie w bok i do przodu jednocześnie. Ręce o mocno zaciśniętych pięściach wyjmuję z kieszeni spodni i opuszczam luźno wzdłuż ciała. Tak chyba lepiej. Chociaż... Czy ta pozycja nie jest zbyt ugodowa, poprawna, świadcząca o pewnej uległości, nadmiarze skromności? O, właśnie! Na przykład postawa gościa stojącego z mojej lewej strony bardziej by mi odpowiadała... Lewa noga nieco wysunięta do przodu, lewa ręka tkwiąca do połowy palców w kieszeni marynarki, prawa - lekko uniesiona na wysokość brzucha, zgięta w łokciu, w palcach - papieros.

Pospiesznie zapalam papierosa i przyjmuję zaobserwowaną pozę. I zaraz narzuca mi się mnóstwo wątpliwości. Uniesiona ręka, o ile sobie dobrze przypominam (gdzie ja to czytałem?), charakteryzuje pewną odmianę schizofrenii. Boże, czyżby i ta choroba zaczęła mnie atakować?! Opuszczam rękę, trwożliwie rozglądam się wokół. Być może ktoś z obecnych też o tym czytał i właśnie zakwalifikował mnie do grupy ludzi cierpiących na rozdwojenie jaźni... I ten papieros! Przecież to ewentualny rak płuc, nie mówiąc już o innych nie mniej groźnych chorobach! Kiedy wreszcie na dobrze rzucę palenie? Na razie rzucam papierosa...

Właśnie podjeżdża autobus. Nie będę się pchał, wszak jestem dobrze (przez lekturkę) wychowany. Ustawiam się pokornie z boku i przepuszczam wszystkich do środka. Kierowca zatrząskuje mi pneumatyczne drzwi prawie przed nosem. Jakoś jednak udało mi się wskoczyć, w ostatniej chwili. Jeszcze tylko wciągnąć zatrzaśnięty pomiędzy połówkami drzwi róg marynarki.

Jestem przylepiony do obfitych pośladek przystojnej (o ile mogę stwierdzić to od tyłu), na oko czterdziestoletniej blondyny. Moje nozdrza bezustannie drażni ohydny zapach jej lakieru do włosów. Usiłuję cofnąć się nieco, chcę utrzymać pewien dystans między nami, ponieważ stwierdzam u siebie wzwód. I zaraz skojarzenie: Modigliani prawie się rzucał na każdą jako tako wyglądającą kobietę !.... Nie da rady, z tyłu zdrowo napiera na mnie zionący wódą facet. Czyżby pedał?

Z rezygnacją, z czystym sumieniem (przecież próbowałem przeciwdziałać!), z nabrzmiałym członkiem wtulam się w stojącą przede mną kobietę. Ona udaje, że nie czuje. Ja usiłuję sprawiać wrażenie, że też nie!

Przystanek przy dużym zakładzie pracy. Autobus prawie pustoszeje. Kobieta wysiada, spogląda na odchodnym na mnie raz, krótko i taksująco. Nie z niechęcią. Widzę to kątem oka, udaję, że pilnie szukam siedzącego miejsca, choć jest ich pełno teraz. Siadam na ostatnim, tylnym siedzeniu. Za plecami nie mam nikogo, przed sobą - wszystkich. Lubię bezpieczne sytuacje!

Po jakimś czasie orientuję się, że zaplotłem palce jak ksiądz do modlitwy, kciuki zaś bezwiednie wykonują tak zwanego "młynka". Momentalnie porównuję swój sposób trzymania dłoni ze sposobem trzymania ich przez moich najbliższych sąsiadów. Nikt nie trzyma ich tak jak ja! Pewnie wszyscy już myślą, że modłę się w publicznym miejscu ostentacyjnie, jak jakiś zwariowany fanatyk religijny! Gdybyż to jeszcze mógł mnie usprawiedliwić podeszły wiek, szczególnie ciężkie kalectwo, w końcu chociażby szata duchowna... Nic tych rzeczy. Jestem na oko zdrowym jak zdrowy byk, dwudziestoośmioletnim, powiedzmy, mężczyzną. Ubrany w miarę stereotypowo...

Nikt nie trzyma rąk tak jak ja! O mały włos nie powiedziałem tego głośno. A jak je trzymają? Ktoś obejmuje jedną dłoń drugą dłonią. Robię to samo. Ale czy to dobrze? Ktoś inny oparł się dłońmi o siedzenie. Ja też... Ale znowu jeszcze ktoś inny założył ręce na piersiach. Więc i ja! I tak dalej... Po kilkunastu moich ruchliwych sekundach duża część pasażerów (może już wszyscy?) patrzy na mnie ostentacyjnie. Doprawdy, nie wiem, gdzie mam podziać oczy. Udaję, że nie dostrzegam ich nachalnych spojrzeń, usiłuję skupić się na oglądaniu krajobrazu za oknem. Widzę, czuję te nieznaczne domyślne uśmiešky! Nieoczekiwanie łapię się na tym, że niegłośno podśpiewuję sobie pod nosem, chyba już od jakiegoś czasu... Sprawdzić, czy patrzą jeszcze, czy nie sprawdzać raczej? Nie, nie sprawdzę! Jeżeli gapią się wciąż, to nie wiem, co bym zrobił! Udawać, że nic się nie stało, nic się nie stało, nic... Po prostu zamyśliłem się trochę, zagapiłem, zaplątałem w sobie, kurwa mać! Dlaczego bębnię palcami prawej ręki po kolanie...

Na szczęście przystanek! Szybko, na oślep wyskakuję z autobusu. Zdaje się, że swoim impetem wyrzuciłem jakiegoś staruszka. Nie oglądając się za siebie, zły, z zaciśniętymi mocno pięściami, z wzrokiem wbitym w płyty chodnika szybko ruszam w kierunku dalszej jazdy autobusu, w stronę swojego domu. To nic, że to jeszcze pięć długich przystanków! Grunt, że opuściłem autobus. Tak się wszyscy w nim patrzyli na mnie jak na wariata!...

A teraz ci tu się nie patrzą? Ostrożnie i czujnie podnoszę wzrok, nieufnie patrzę na zdążających z przeciwka, mijających mnie ludzi, na ich twarze... O, dlaczego ten facet na ułamek sekundy tak wbił we mnie swoje cholerne wredne ślepie? Opuuszczam powieki. Robię jeszcze trzy kroki i raptownie odwracam się. Obejrzy się ten dureń czy się nie obejrzy? Obserwuję go tak długo, aż znika w tłumie. Nie obejrzał się... Ale dlaczego tak patrzył?

Ludzie potrącają mnie. Otrząsam się i ruszam dalej. Ale dlaczego on tak patrzył? Jak na wariata?

Wchodzę do mieszkania, zamykam drzwi na klucz, rzucam marynarkę na tapczan, mówię:

- Cześć, pewnie już szalenie stęskniliście się za mną?

Do kogo mówię, po co?

Do wszystkiego, do stołu, krzesel, książek, garnka, w którym zaparzam herbatę...Do wszystkich!

Po co mówię?

Tak sobie! A co, tego też nie wolno we własnym domu?

- Cicho, cicho! - uciszam w sobie tego drugiego, bez przerwy cwaniak coś kombinuje, przypomina chwile dawno minione, wiersze układa, duperele różne, opowiadania... Zamysły przyszłych książek konstruuje. - Co to ja chciałem? - usiłuję sobie przypomnieć stojąc na środku pokoju, z rozpędu jeszcze macham ręką, uspokajam tego drugiego. - Aha, herbata!

Ile ja tych herbat piję dziennie, dwadzieścia, trzydzieści? Herbata za herbatą, papieros za papierosem, cud, że żyję jeszcze, chociaż - być może - mam już kamice nerkową i właśnie powoli zżera mnie rak, sam nie wiem czego...